

Putinizacja zgromadzeń

wolności

16 listopada 2011

Po Marszu Niepodległości prezydent Bronisław Komorowski zapowiedział zmiany w ustawie o zgromadzeniach, mogące zrujnować finansowo organizatorów opozycyjnych manifestacji. Prawnicy i obrońcy praw człowieka są zgodni – takie przepisy byłyby zagrożeniem dla demokracji. Czy podatny grunt dla ich wprowadzenia miały stworzyć prowokacje, do jakich doszło 11 listopada?



Wieczór 11 listopada. Telewizje epatują zadymami, do jakich doszło przy okazji narodowego święta. Konferencję prasową zwołuje prezydent Bronisław Komorowski.

Manifestanci jeszcze nie zdążyli rozejść się do domów, gdy prezydent ogłasza: – Zleciłem odpowiednie prace prawnikom i sądzę, że jest możliwe znalezienie zapisów, które by nowelizowały dotychczasową ustawę bez konieczności zmiany konstytucji, co jest w tym wypadku istotne, w taki sposób, aby w większym stopniu odpowiedzialność za szkody i zniszczenia w miejscach i czasie objętych zgodą na przeprowadzenie

demonstracji jednak obciążała organizatorów.

Dyrektor biura prasowego Kancelarii Prezydenta Joanna Trzaska-Wieczorek zapowiada spotkanie Bronisława Komorowskiego ze współpracownikami, które odbędzie się „w kontekście ewentualnego wniesienia przez prezydenta inicjatywy ustawodawczej. Zaznacza, że prezydent opowiada się za wzmocnieniem uprawnień władz samorządowych w zakresie decydowania o możliwości organizowania demonstracji.

Następnego dnia konferencję prasową zwołuje premier Tusk. Zapowiada, że będzie w tej sprawie współpracował z prezydentem. Mówi, że nie można wykluczyć nawet zmian w konstytucji. Dodaje, że obecne przepisy są nieprecyzyjne, gdyż samorządy, które zabraniają niebezpiecznych zgromadzeń, przegrywają przed sądami.

Pada kolejna tajemnicza zapowiedź „ułatwienia samorządom działań prewencyjnych, które zapobiegłyby aktom chuligaństwa” (w większości samorządów wielkich miast rządzi PO). Jest też wypowiedź pod publiczkę o tym, że normalne życie warszawiaków nie może być blokowane przez masowe demonstracje.

ROMASZEWSKI: ZAKŁAMANE RELACJE I POLICYJNE PROWOKACJE

Zbigniew Romaszewski, legenda opozycji z czasów PRL, uczestniczył w Marszu Niepodległości. Telewizyjne przekazy z niej ocenia jako najbardziej zakłamane relacje po 1989 r. Uważa, że zajścia były wynikiem prowokacji. – TVN pokazał kamienie wyrwane z bruku, jakimi mieli rzucać uczestnicy Marszu Niepodległości. Tyle że one nigdy nie zostały użyte, bo uniemożliwili to kibice – opowiada.

– Byłem świadkiem, jak jakiś zamaskowany od stóp do głów gówniarz wrywał kamienie z bruku. Podeszli do niego kibice, nazywani przez media kibolami, i zapytali: „co ty wyprawiasz?” – mówi Romaszewski. – W wyniku interwencji „kiboli” kamienie te w ogóle nie zostały użyte, za to pokazał je TVN.

Jego zdaniem wydarzenia w czasie Marszu Niepodległości były w ogromnej części prowokacją. – Policja brutalnie spychała manifestantów, zamiast po prostu ogłosić, jakimi ulicami mamy pójść. To wszystko robiło trochę wrażenie ćwiczeń przed pacyfikowaniem manifestacji, do jakich niewątpliwie dojdzie w nadchodzących ciężkich dla rządu czasach – ocenia.

Romaszewski był także świadkiem wydarzeń wokół podpalonego później wozu TVN. Jak mówi, został on świadomie opuszczony przez pilnujących go wcześniej policjantów.

– To nie pierwsza tego typu prowokacja, podobną było zatrzymanie Piotra Staruchowicza na oczach tłumu uczestników obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego – stwierdza.

Prowokacje przeciwników Marszu Niepodległości pokazują też filmiki zamieszczone w internecie. Na jednym z nich osobnik w białej kominiarce uderza fotoreportera. Po zdjęciu kominiarki okazuje się on osobą biorącą wcześniej udział w... lewicowych manifestacjach. [Okazało się, że to jednak nie był lewicowiec, lecz kibic Legii Warszawa – przypis WM]

PROF. IRENA RZEPLIŃSKA: TEN PRZEPIS NIE PRZEJDZIE

Obserwatorów zaskakuje szybkość reakcji prezydenta Komorowskiego na wywołane w wielkiej mierze przez prowokatorów oraz brutalność policji rozróby. Jakim cudem zdołał on wpaść na pomysł zmian w konkretnych przepisach ważnej dla demokracji ustawy w ciągu dwóch godzin? Mimo że głowa państwa ma w dniu narodowego święta szczelnie wypełniony kalendarz? Czy te pomysły nie powstały wcześniej? Czy akcja prowokatorów, policji i mediów nie miała przygotować gruntu pod zmiany?

Jeśli tak, to szybka konferencja prasowa nie dziwi. Z PR-owego punktu widzenia należało kuć żelazo póki gorące. Zaproponować zmiany w prawie o zgromadzeniach w chwili, gdy obywatele postraszone rzekomymi gigantycznymi rozróbami.

Co w praktyce oznaczałoby postulowane przez Komorowskiego

wprowadzenie odpowiedzialności finansowej organizatorów za zniszczenia, do których doszło w czasie manifestacji? Adam Borowski, legenda antykomunistycznej opozycji, a dziś organizator manifestacji w obronie praw człowieka w Czeczenii, nie ma wątpliwości. – W ten sposób władza może zniszczyć każdą organizację. Wystarczy, że gdzieś na obrzeżach jakiejś manifestacji prowokator zniszczy kilka samochodów o dużej wartości, a władza obciąży kosztami kogoś, kto zgłosił zgromadzenie.

Osoby demolujące samochody organizator mógłby nie widzieć nigdy na oczy. Jak podkreśla Borowski, w manifestacji, w której bierze udział kilkadziesiąt tysięcy osób, jest też statystycznie prawdopodobne pojawienie się jednej lub kilku osób agresywnych lub niezrównoważonych.

– Zgoda na takie zmiany oznaczałaby rezygnację z tego, o co walczyliśmy w PRL – stwierdza Zbigniew Romaszewski. Prof. Irena Rzeplińska z Instytutu Nauk Prawnych PAN, działająca w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, nie wyobraża sobie sytuacji, w której wszedłby w życie przepis proponowany przez Komorowskiego. – Prawo do manifestacji jest niezbędne dla demokracji. Wprowadzenie odpowiedzialności finansowej organizatorów mocno ograniczyłoby swobody demokratyczne – mówi.

Nie potrafi wskazać, jak w praktyce praworządnego państwa miałyby działać taki restrykcyjny paragraf. – Ten przepis nie przejdzie. Bo niby czemu sąd miałby skazać organizatora za to, że chuligan, którego nie widział na oczy, coś zdemolował? Karać trzeba tego, kto demoluje.

Nie zgadza się też z pomysłami, by manifestacje mogły być ograniczane ze względu na ich uciążliwość. – Pamiętam, jak warszawski urzędnik postulował niegdyś kuriozalnie, by manifestantom kazać demonstrować... poza Warszawą, najlepiej w lesie.

Autor: Piotr Lisiewicz

Zdjęcie: Autonom.pl

Fragment artykułu z „Gazety Polskiej”

Źródło: Niezalezna.pl